

Wakacje z mułłami – cz. 8

1 stycznia 2008

Wieczorem poszliśmy do „Silk Road”, nowo otwartego hotelu z restauracją, którego właściciel, Mr Hassan, zagadnął nas dzisiaj na starym mieście i zaprosił na obiad. Okazało się, że spędził trochę życia w podróżach po świecie, ma brata w Kanadzie, mówi bardzo dobrze po angielsku i usiłuje rozwinąć biznes obsługi zachodnich turystów. Hotel, położony tuż obok meczetu, mieści się w pięknie odnowionej tradycyjnej rezydencji i jest gustownie umeblowany i udekorowany antykami. Jego centrum jest rozległy dziedziniec z fontanną pośrodku. Z dwóch stron wychodzą nań pokoje hotelowe, z trzeciej kuchnia i pomieszczenia gospodarcze, z czwartej duży liwan, wysłany dywanami, na ścianach którego wiszą klatki ze śpiewającymi ptakami. Mr Hassan usadowił nas ceremonialnie przy stole i zamówił dla nas obiad. Musieliśmy trochę poczekać na jedzenie, ale był to najsmaczniejszy posiłek, który jedliśmy w Iranie. Mr Hassan osobiście sprawdzał, czy przynoszone potrawy są należytej jakości, do tego stopnia, że odesłał ryż do kuchni i zamówił porcję z sąsiedniej restauracji.

Przyprawiony szafranem i polany stopionym masłem był rzeczywiście wspaniały. Po obiedzie Mr Hassan zaprosił nas na herbatę na platformy po drugiej stronie podworca gdzie zapoznał nas z dwoma młodymi małżeństwami. Obydwie pary mówiły trochę po angielsku, a dowiedzieliśmy się, że uczą się tego języka w celu ewentualnej ucieczki z Iranu na Zachód. Podobnie jak wszyscy inni, których spotkaliśmy wcześniej, nie mają dobrego wyobrażenia o życiu na emigracji w obcym kraju. Wydaje im się, że będzie mniej więcej takie jak w Iranie, tylko że w zachodnim dobrobycie. A nie są to jacyś głupi ludzie. Facet jest wykładowcą na uniwersytecie, a reszta też ma niezłe posady i głębokie poważanie wśród swoich. Z tego co nam mówili wynikało, że zupełnie nie widzą możliwości dostosowania się do wymagań innej kultury, obyczajów czy nawet zrozumienia tego

innego świata do którego chcieliby dołączyć, bo wartości które kierują ich życiem są tak sztywne, że niewiele w nich miejsca na zmiany. Kręcili głowami z niedowierzaniem, gdy im tłumaczyliśmy, że adaptacja jest niezbędna i często bolesna. Mr Hassan nas poparł, próbując im wytłumaczyć, że praktyczne ożenienie dwóch skrajnie różnych światów jest niesłychanie skomplikowane, a czasami zupełnie niemożliwe.

Nasi rozmówcy nie wyglądali na przekonanych, widać tyle nadziei na przyszłość wiązali z ewentualnym wyjazdem, że nie chcieli wierzyć w ujemne strony raju za którym tak tęsknią. Ludzie tutaj znają tylko jeden model życia, są odizolowani od innych kultur, a wszystkie negatywy życia na Zachodzie uważają za reżymową propagandę.

ISFAHAN

Rano znów pakowanie, taksówka na dworzec autobusowy i godzinne oczekiwanie na odjazd. Na dworcu tłumy, wszystkie tabliczki objaśniające po persku, nikt nic nie wie. Krzyśkowi udało się sklecić pytanie w Farsi o autobus do Isfahanu, zapytany machnął ręką w kierunku nowocześnie wyglądającego autobusu na pobliskim stanowisku. Dołączyliśmy do sporego tłumu czekających. Pogadaliśmy przez parę minut z facetem z Libanu, który tu przyjechał robić zawodowo fotografie, a po chwili przyszedł kierowca, wpuścił nas do środka i załadował bagaże do bagażnika. Podróż była tym razem znacznie przyjemniejsza, bo autobus miał klimatyzację i jechał doskonałą, dwupasmową autostradą. Mimo to czułam się już zmęczona podróżą. Pierwsze wrażenia minęły, wdało się zwyczajne znużenie tymi wszystkimi zmianami. Za Yazd góry rozstąpiły się, a okolica stała się bardziej zielona. Isfahan to wielkie miasto, o wiele bardziej „zachodnie” niż Sziraz, Kerman, czy Yazd. Na przedmieściach sporo wieżowców, dobrze utrzymanych zieleńców, parków i trawników. Dużo dwupasmowych dróg szybkiego ruchu z bezkolizyjnymi skrzyżowaniami. Dworzec nowoczesny, wielki i czysty. Znów opadł nas tłum taksówkarzy, wszyscy chcieliby nas wieźć. Mieliśmy upatrzony hotel, ale „nasz” taksówkarz zawiózł

nas najpierw do jakiegoś innego, luksusowo wyglądającego i próbował zostawić.

Prawdopodobnie miał jakiś układ z recepcją. Nie zgodziliśmy, więc niechętnie dostarczył nas tam gdzie chcieliśmy, lecz chyba przez zemstę wysadził po drugiej stronie ulicy, tak że musieliśmy przeciskać się z bagażami przez chaos na jezdni. Hotel „Aria” był trzygwiazdkowy, ale widział lepsze czasy. Cały wystrój, meble i urządzenia niezmiennie na jotę od wczesnych lat 60-tych. W pokoju pokryte mainatem meble, antyczna amerykańska lodówka i piękna lampa z filigranowego żelaza. Spłuczka w klozecie nie działa, trzeba spłukiwać wiaderem. Niezbyt czysto, ale miła i przyjazna atmosfera, no i tanio. Po zmyciu z siebie trudów podróży wyszliśmy na poszukiwanie biura Informacji Turystycznej w celu zdobycia mapy miasta. Wedle przewodnika powinna znajdować się na Mejdanie (ryнку), w bramie dawnego pałacu Szacha Abbasa. Na ulicach ruch jak w mrowisku, a przechodzenie przez jezdnię grozi śmiercią, mimo że kierowcy isfahańscy są jakby trochę bardziej zdyscyplinowani niż gdzie indziej. Nasz hotel jest na obrzeżu starego miasta, blisko rzeki, ale to stare miasto jest tak rozległe, że do centrum był spory kawałek drogi.

Isfahan był stolicą imperium Safawidów w XVI wieku, wspaniałą półtoramilionową metropolią, pełną olśniewających pałaców, meczetów i ogrodów, centrum kultury i handlu. O jego bogactwie i pięknie świadczyło powiedzenie „Isfahan, nesf-e-dżehan”, czyli Isfahan to pół świata. Mimo późniejszych najazdów, trzęsień ziemi i ruiny kraju pod rządami nieudolnych władców, w dalszym ciągu imponuje i zachwyca. Od razu po wyjściu z hotelu stanęliśmy oko w oko z pamiątkami historii. Po drugiej stronie ulicy był najwspanialszy hotel w Isfahanie, Abbasi, mieszczący się w ogromnym, 16-wiecznym karawan-seraju, czworokacie 2-piętrowych budynków z arkadami na piętrach, zgodnie z tradycją wychodzących na przepiękny dziedziniec wewnętrzny, pełen fontann i basenów wśród ogrodów różanych. Wnętrze wykładane jest nawspanialszymi marmurami i

alabastrami, umeblowane antykami i udekorowane najwyższej klasy dywanami. Patrząc na te wspaniałości wzdychaliśmy z żalu, że nie bardzo nas na nie stać. Zaraz obok hotelu, przy skrzyżowaniu z główną aleją miasta jest pochodząca z tego samego okresu Madrasa, czyli dawny uniwersytet, z niewielkim meczetem, przykrytym glazurowaną kopułą. Dziś mieszczą się w niej szkoła religijna i wydział Uniwersytetu. Centralna aleja zwana Czachar Bagh (czyli Cztery Ogrody) była zawsze osią Isfahanu, zaczynającą się od największego mostu, zwanego „Si o Se”, czyli 33, od liczby łuków.

Dziś przypomina krakowskie Planty, zarówno szerokością jak i zielenią. Jej środkiem biegnie promenada dla pieszych z ławkami do siedzenia, kwietnikami, i pamiątkowymi fontannami. Po bokach są ścieżki tylko dla motorowerów i rowerów. Dalej, z każdej strony, trzypasmowe jezdnie a za nimi wreszcie chodniki dla pieszych, zawsze pełne ludzi. Wszystkie te elementy oddzielone są od siebie kanałami na wodę, z podwójnym szpalerem ogromnych starych drzew w zielonym żywopłocie z obydwu stron. W sumie na jednej ulicy jest aż osiem szpalerów drzew i osiem wysokich ścian żywopłotu. Nigdzie indziej nie widziałam tak ruchliwej ulicy która byłaby aż tak zielona. Po obu stronach alei stoją niskie z reguły, jednopiętrowe 19 wieczne domy, ze sklepami na parterze, głównie cukierniami, sprzedającymi produkowany na miejscu ghaz – sławny isfahański nugat z pistacjami i inne pyszne ciastka i słodyczne. Po jednej stronie, na miejscu dawnej dzielnicy pałaców, zburzonych przez najazd afgański, zrobiono ogromny park miejski. Kierując się kiepską mapką z przewodnika dotarliśmy jakoś do Mejdanu, dziś zwanego (oczywiście) placem Chomeiniego. Zajrzeliśmy w arkady Ali Qapu, w poszukiwaniu Informacji Turystycznej, ale nic takiego tam nie było. Próbowaliśmy dopytać się czegoś w sąsiednich sklepach, ale nikt nic nie wiedział. Byliśmy zbyt zmęczeni i głodni by szukać dalej, postanowiliśmy więc wrócić do hotelu, zostawiając zwiedzanie isfahańskiego rynku i jego atrakcji na następny dzień. Obiad zjedliśmy w restauracji jednego z lepiej wyglądających hoteli na naszej ulicy i,

wyjątkowo zmęczeniu, poszliśmy spać. W nocy spałam źle, wstałam nieprzytomna i zmęczona ale jakoś zebrałam się do kupy, a po wyjściu i odetchnięciu atmosferą tego przepięknego miasta, wróciły mi nadwątlone siły.

Tuż obok skrzyżowania głównej alei z „naszą” ulicą stała duża budka policyjna. Zajrzeliśmy do środka, pytając o Informację Turystyczną. Jeden z policjantów, sympatyczny rudas, wyglądający bardziej na Irlandczyka niż na Persa umiał po angielsku i gdy tylko powiedzieliśmy mu o co nam idzie sięgnął na półkę i wręczył nam turystyczną mapę Isfahanu, której tak długo szukaliśmy.

Z planem w ręce mogliśmy się wreszcie wybrać na porządne zwiedzanie. Od naszego hotelu do centralnego punktu Isfahanu, Placu Chomeiniego (Mejdanu) było ok 3 km. Jest to rozległy rynek na planie bardzo wydłużonego prostokąta, przy którym stoją najpiękniejsze budynki miasta.

Koniec części ósmej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)